

## Tadeusz Boy-Żeleński: Listy perskie. Przedmowa

Po „Listach perskich” trzydziestoparoletni ich autor stał się jedną z najmodniejszych osobistości w Paryżu, dokąd z czasem się przeniósł, rzuciwszy godność dygnitarza sądowego, aby się całkowicie poświęcić myśli i nauce. Nie znaczy to, aby pogardzał i tryumfami na innym polu, które mu również otworzyła jego sława. W salonach pani du Tencin, pani de Lambert, pani du Deffant niejedna piękność okazała się wrażliwa na fizyczne powaby tej czystej inteligencji.

Tak; w tych bezimiennie ogłoszonych *Listach*, które Paryż rozchwycił w czterech wydaniach i czterech nieuprawnionych przedrukach w ciągu roku, mieszczą się już zasadnicze rysy politycznej myśli Monteskiusza. Ale forma, w jaką przyodział tę rewolucyjną książeczkę, jakże jest znamienna dla epoki! Jak czuć w niej wszechwładzę kobiety, do której przede wszystkim autor pragnął trafić, której salon zaczynał być w owym czasie potężną instytucją.

Nie ma co ukrywać: późniejszy autor *Ducha Praw* wszedł w literaturę skandalem. Gorszono się, ale czytano. Gorszono się podwójnie, ze względu na stanowisko autora — prezydent sądu!

„Są to (powiadał d'Argenson) rzeczy, które inteligentnemu człowiekowi mogą przyjść do głowy, ale na których drukowanie człowiek stateczny nie powinien sobie pozwolić.” Doprowadzono Montesquieu do tego, że

nie przyznawał się do swej książeczki. „Mam tę chorobę (powiadał), że piszę książki i że wstydzę się ich, skoro je napisałem”.

Po *Listach perskich* trzydziestoparoletni ich autor stał się jedną z najmodniejszych osobistości w Paryżu, dokąd z czasem się przeniósł, rzuciwszy godność dygnitarza sądowego, aby się całkowicie poświęcić myśli i nauce. Nie znaczy to, aby pogardzał i tryumfami na innym polu, które mu również otworzyła jego sława. W salonach pani du Tencin, pani de Lambert, pani du Deffant niejedna piękność okazała się wrażliwa na fizyczne powaby tej czystej inteligencji. Olśniony wdziękami księżniczki krwi, panny de Clermont, marząc może o pozyskaniu jej serca, pisze Montesquieu na jej cześć poemacik prozą pt. *Świątynia w Knidos*, rzekomo przełożony z greckiego. Madrygał ten wyróżnia się spośród tego rodzaju sztucznych kwiatów świeżością, jaką dawało pisarzowi jego żywe poczucie starożytności i poufała znajomość greckich autorów.

*„Czasami ona mówi, ściskając mnie: Jesteś smutny. — Prawda, odpowiadam, ale smutek kochanków jest pełen rozkoszy; czuję, jak płyną moje łzy, i nie wiem czemu, bo ty mnie kochasz; nie mam powodu do skargi, a skarżę się. Nie wrywaj mnie z omdlenia, w którym tonę, pozwól mi wzdychać wraz ze smutku i z lubości. Wśród upojeń miłosnych dusza moja zbyt jest niespokojna; rwie się ku szczęściu, nie sycąc się nim; gdy teraz poję się nawet moim smutkiem. Nie ocieraj moich łez; cóż znaczy, że płaczę, skoro jestem szczęśliwy?”*

*Świątynia w Knidos* wyszła w 1725 również bezimiennie i stała się nowym tryumfem ex-prezydenta. Ksiądz Voisenon mówi, że „ten poemacik przyniósł autorowi wiele zdobyczy, pod warunkiem że zostaną w ukryciu”. Wybrano go do Akademii; ale był autorem skandalicznych Listów perskich: król nie podpisał dekretu, pod pozorem, że Montesquieu nie mieszka w Paryżu. Został Akademikiem aż w parę lat później.

Potem Montesquieu milknie na długo. Pracuje nad *Duchem Praw*. Jest to owoc dwudziestu lat pracy, kilkuletnich podróży po Europie, ogromu badań i myśli.

Błyskotliwy autor *Listów perskich*, dworny i czuły śpiewak *Świątyni w Knidos*, staje się, pochłonięty swoim wspaniałym przedmiotem, najwytrwalszym z pracowników. Po ukończeniu rozdziału o prawach feudalnych, Montesquieu pisze do przyjaciela: „Myślałem, że skonam w ciągu tych trzech miesięcy, aby skończyć księgę *O pochodzeniu i przeobrażeniach naszych praw cywilnych*. To zajmie trzy godziny lektury, a upewniam cię, kosztowało mnie tyle pracy, że włosy pobielały mi od tego.” Mimo to, ileż starań, aby zasłonić tę pracę, aby się jej nie odczuwało, czytając dzieło; ileż dbałości o lekkość formy w aforystycznym i jasnym ujęciu przedmiotu, w podziale na krótkie rozdziały, opatrzone przejrzystymi tytułami! Bo w owym XVIII wieku nie było tak poważnej, tak uczonej książki, która by nie dbała o to, aby się mogła znaleźć między puszkami z pudrem a różem na gotowalni pięknej pani. Dla nich ta przejrzystość i lekkość, która tak cechuje literaturę owego wieku; dla nich ta kokieteria, aby najtrudniejszy, najsuchszy na pozór przedmiot uczynić dostępnym i miłym.

Montesquieu prowadzi nas w gąszczu myśli, niby po strzyżonym ogrodzie, wśród klombów i ścieżek. Boi się zmęczyć, znudzić, raz po raz pozwala spocząć, zaczerpnąć oddechu.

Kto wie, może z myślą o zjednaniu tych miłych a potężnych dla reputacji autora czytelniczek stara się Montesquieu od czasu do czasu urozmaicić swoje dysertacje jakimś szczegółem, zdolnym specjalnie zainteresować tę część audytorium. Tu i ówdzie w szczegółach o narodach wschodnich przypomina się autor Listów perskich. Brali mu to za złe jego krytycy. Autor pięknej monografii o Monteskiuszu, Albert Sorel, nie może mu darować rozdziału *O pogwałceniu wstydu w ukaraniu zbrodni*. „Można by dodać: i w *Duchu Praw*”, powiada Sorel, może zbyt surowo.

Wszędzie tu czuć wiek XVIII. Poważny rozdział o małżeństwie i rozmnażaniu się ludzkości (tom II) opatruje Montesquieu mottem z Lukrecjusza:

O Wenus! O matko miłości!

.....

Ledwie twa moc obudzi pierwsze brzaski wiosny,  
Zefiry ślą dokoła swój oddech miłosny;  
Ziemia w tysiączne barwy stroi swoje łono,  
A słodkie aromaty kwiatów zewsząd wioną.  
Słysząc ptaszęta, w serce rażone twą mocą,  
Jak lubieżnymi tony na twą cześć świegocą;  
Za piękną jałoweczką widać byczki młode,  
Jak skaczą po pastwiskach lub spieszą przez wodę;  
A mieszkańcy gór, równin, borów niezgłębionych,

I rzek, i mórz bezkresnych, i wiosk zielonych,  
Płonący na twój widok żądzą i miłością,  
Chcą się mnożyć, znęcani bezmierną lubością:  
Tak słodko iść za tobą, co władnąc szczęśliwie,  
Blaski piękności dajesz wszystkiemu, co żywie...

Ale jeden zwłaszcza jest rys w *Duchu Praw* szczególnie uroczy. Monteskiusz jest w połowie swego dzieła, skończył jego część polityczną, ma przejść do części ekonomicznej, o handlu, żegludze, etc. Czuje się zmęczony, przeraża go praca, wysiłek, które go jeszcze czekają. I oto przed rozdziałem *O handlu* — temat, zdawałoby się, najsuchszy, jaki być może — wyrywa mu się z piersi następujące Wezwanie do muz:

„Dziewice z góry pierejskiej, czy słyszycie imię, które wam daję?  
Wspierajcie mnie. Przebiegam długą drogę; przygnieciony  
jestem smutkiem i nudą. Wlejcie w mój umysł ów czar i ową  
słodycz, które czułem niegdyś, a które uciekają daleko ode  
mnie. Nigdy nie jesteście równie boskie, co kiedy wiedziecie do  
mądrości, do prawdy przez rozkosz.

Ale jeśli nie chcecie złagodzić surowości moich prac, ukryjcie  
samą pracę; sprawcie, abym niósł naukę, a nie uczył; iżbym  
myślał, a iżby się zdawało, że czuję; i kiedy będę oznajmiał  
rzeczy nowe, sprawcie, by sądzono, że ja nie widziałem nic, a  
wyście mi powiedziały wszystko.

Kiedy wody waszego źródła wypływają z umiłowanej wam skały,  
nie wzbijają się w górę, aby opadać: płyną, dają wam rozkosz,  
ponieważ dają rozkosz pasterzom.

Muzy urocze, jeśli obrócić na mnie jedno swoje spojrzenie,  
cały świat będzie czytał moje dzieło; i to, co nie może być  
zabawą, będzie przyjemnością.

Boskie Muzy, czuję, że wy mi szeptacie nie to, co śpiewano w  
Tempe na fletniach, ani to, co powtarzano w Delos na lirze;  
chcecie, bym mówił do rozumu; jest to najdoskonalszy,  
najszlachetniejszy i najrozkoszniejszy z naszych zmysłów.”

Tak przemawia Monteskiusz do Muz.

„Iżbym myślał, a iżby się zdawało że czuję...” Jakież głębokie poczucie  
znaczenia inspiracji w najbardziej naukowym, najściślejszym  
przedmiocie. To Wezwanie do muz, po którym najspokojniej tą samą  
ręką kreśli Montesquieu nagłówek: Rozdział pierwszy, *O handlu*,  
pachnie w istocie rozkosznie wiekiem osiemnastym!

Ale niemniej zabawna jest historia tego wezwania. Nie znalazło ono  
łaski w oczach imć Jakuba Vernet z Genewy, który miał poruczoną  
ważną funkcję korekty Ducha Praw. Vernet uznał, że Inwokacja ta nie  
byłaby na miejscu i namówił autora, aby ją usunął: biedny autor broni  
się nieśmiało; sumituje się przed swym korektorem:

„Co się tyczy *Wezwania do Muz*, ma ono przeciw sobie to, że jest rzeczą osobliwą w takim dziele i że tego nie bywało; ale, kiedy rzecz osobliwa jest dobra, nie należy jej odrzucać dla osobliwości, która sama przez się przyczynia się do powodzenia: nie ma zaś dzieła, w którym bardziej by trzeba starać się rozerwać czytelnika, niż w tym oto, z przyczyny długości i ciężkości przedmiotu.”

Mimo to, Montesquieu zdecydował się posłuchać swego mentora i napisał doń w kilka dni później:

„Wahałem się w przedmiocie Inwokacji między jednym z moich przyjaciół, który chciał ją zostawić, a panem, który chciał ją usunąć. Przychyłam się do pańskiego zdania, i to bardzo stanowczo, i proszę jej nie dawać.”

W istocie *Wezwanie do Muz* nie ukazało się i nie ma go w większości wydań. Dopiero znacznie później wydawca francuski zdecydował się przywrócić je. „Niech nam będzie wybaczone (pisze), że zostaliśmy wierni pierwszemu uczuciu Monteskiusza. Nigdy nie zrozumie ducha tego wielkiego człowieka, kto zechce oddzielić autora *Ducha Praw* od autora *Listów perskich* i *Świątyni w Knidos*.”

Podzielałam to zdanie francuskiego wydawcy. I dlatego skreśliłam na marginesie polskiego wydania *Ducha Praw* ten szkic o jego autorze, nieodrodnym synu XVIII wieku, owego wieku, który na biurko pięknych

pań, między puzderko z muszkami a modną piosenkę, podrzucił parę książek, ważkich treścią a lekkich formą, które stworzyły największą w dziejach ludzkości Rewolucję.

A teraz, czytajcie *Listy perskie*.

*Tadeusz Boy-Żeleński*